

RADOSŁAW
LEWANDOWSKI



KLUCZ
DO HELHEIMU

Autor
bestsellerowej
serii
Wikingowie

KŁUCZ
DO HELHEIMU

The title 'KŁUCZ DO HELHEIMU' is rendered in a highly decorative, gothic-style font. The letters are three-dimensional with a metallic, silver-grey finish and a subtle drop shadow. The word 'KŁUCZ' is positioned above 'DO HELHEIMU'. A detailed illustration of a dragon, likely a wyrm, is intricately woven into the text. The dragon's body forms the letter 'D' in 'DO', and its head and neck are visible on the left side of the 'D'. The dragon's body also winds through the letters 'H', 'E', 'I', and 'M' of 'HELMU', with its head appearing near the 'M'. The overall aesthetic is dark and fantasy-themed.

RADOSŁAW
LEWANDOWSKI

KLUCZ
DO HELHEIMU

Płock 2024

Tytuł: *Klucz do Helheimu*

Copyright © for the text by Radosław Lewandowski

Projekt okładki: Tomasz Maroński

Grafiki (pismo runiczne): «MysticaLink», stock.adobe.com

Redakcja: Renata Nowak

Korekta: Anna Hat, Renata Nowak

Skład i łamanie: Mateusz Cichosz | @magik.od.skladu.ksiazek

Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej żadna część nie może być przedrukowywana czy w jakikolwiek inny sposób reprodukowana lub powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I

Płock 2024

ISBN 978-83-67942-00-3

*Dla Natalii, Konrada i Karola –
moich dzieci*

Ośądźcie tę opowieść rozumem i sercem. Proszę o jedno: dotrwajcie do końca. To ważne, tylko wtedy bowiem dane wam będzie pojąć niebezpieczeństwo grożące całej ludzkości. A wierzajcie mi, musicie stoczyć straszny bój o przyszłość świata, waszego świata! Czas nie ma tu znaczenia.



DRUŻYNA ŚWIĘTEGO GRAALA

Współcześnie, Sala Kolumnowa Uniwersytetu Warszawskiego

*Hola, brodaty, markotny drab ma zysk! Piekło: skarby, pakta
Halo, obdarty romantyk bard ma szyk! Opiekł skryba (*****)*

Instytut Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego na Krakowskim Przedmieściu mieści się w budynku, którego bryłę trudno nazwać nowoczesną. Zważywszy jednak na funkcję, jest to bardziej zaletą niż wadą. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę zainteresowania kształcących się tu ludzi.

Sala Kolumnowa w gmachu głównym przypomina pomieszczenie muzealne z bogatymi zdobieniami i wieńczącymi postumenty gipsowymi odlewami antycznych rzeźb. Odwiedzający ją po raz pierwszy często bezwiednie spuszczają wzrok na swoje buty, jakby wstydząc się braku filcowych kapci. Zwykle pustawa, teraz niemal pękła w szwach. Wypełniały ją tłumy studentów i doktorantów, którzy przyszli na tegoroczną konferencję Wydziału Historycznego. Tę i wiele innych imprez towarzyszących zorganizowano w związku z hucznie obchodzonymi Dniami Wydziału.

Dwa pierwsze rzędy składanych krzeseł zajmowali zaproszeni goście. Wśród nich władze pozostałych kierunków studiów, parlamentarzyści, przedstawiciele innych uczelni, magistratu, urzędu marszałkowskiego i wojewody. I to oni

w zdawkowych, kurtuazyjnych rozmowach wyrażali zdziwienie, że konferencja cieszy się tak wielkim zainteresowaniem. A grupę tę stanowili wytrwali bywalcy tego typu imprez, wręcz można by rzec: eksperci w dziedzinie.

– Klucz do takiej frekwencji – perorował ściszym głosem dziekan Wydziału Historii – to wielce tajemniczy odczyt końcowy profesora Grassera, podczas którego, jak sam mnie zapewniał, przedstawi informację o najdonioślejszym odkryciu ostatniego ćwierćwiecza, ten tego. – Dziekan dopytywany o szczegóły z uśmiechem zbywał rozmówców ogólnikami.

Wielu VIP-ów miało zwyczaj wychodzić po angielsku tuż po wstępnych przemowach, jednak ciekawość świata, choć w stanie mocno szczątkowym i ukierunkowanym na odniesienie osobistych korzyści, nieobca jest również politykom. Zostali.

Trzeba uczciwie przyznać, że organizatorzy konferencji stanęli na wysokości zadania. Wśród tematów prelekcji znalazły się m.in. „Sztuka grobów Izraela” i „Znaczenie genetyki w badaniach archeologicznych”, które to zagadnienia o niebo przerastały atrakcyjnością ubiegłoroczny leitmotiv: „Analiza trapezów mezolitycznych na podstawie stanowiska w Koronowie”. Ale wyobraźnię rozpałało kończące konferencję, interaktywne wystąpienie profesora Marka Grassera z Katedry Historii Średniowiecznej. Gdyby miano dzisiaj ożywić stwora doktora Frankenstein, frekwencja nie byłaby większa.

Tydzień przed konferencją profesor przesłał studentom uniwersytetu i umieścił w uczelnianym intranecie wiadomość, że dokonał przełomowego odkrycia w dziedzinie przedchrześcijańskiej kultury skandynawskiej. Odkrycia na miarę Nagrody Nobla, gdyby przyznawano ją z historii.

Więści rozeszły się lotem błyskawicy, a akademiki i internet aż huczały od plotek. Jak twierdził sam Grasser, znalazł

wskazówkę, gdzie ukryto Świętego Graala wszystkich badaczy złotej ery wikingów. A właściwie, to zrobił pierwszy krok w tym kierunku i żeby pójść dalej, planuje wyprawę na Islandię. Nie byłoby tu jednak tylu rozpalonych głów, gdyby nie fakt, że naukowiec – który uchodził na wydziale za lokalnego Indianę Jonesa – obiecał niecodzienną nagrodę. Mianowicie spośród uczestników dzisiejszej konferencji wybierze asystentów i stworzy z nich islandzki zespół badawczy.

Co ciekawsze, kryteriami nie miały być dotychczasowe osiągnięcia, zaangażowanie w kołach naukowych, czy – jak niekiedy bywało w przypadku dziewczyn – ładny tyłek i długie nogi, ale umiejętność nieszablonowego myślenia, zwana z angielska: myśleniem lateralnym. Grasser obwieścił wszem wobec, że przygotowuje pięć pytań i pięć otwartych umysłów z dowolnych uczelni wyższych poleci z nim na wyspę. Oczywiście na koszt sponsora. Studiujący historię zaliczą tym samym staż, który w innym przypadku musieliby spędzać na którymś z krajowych stanowisk archeologicznych, a inni... Cóż, jednego, czego mogli być pewni, to tego, że nie zapomną kilkutygodniowej eskapady do końca życia. „To będzie przepustka do wielkiej przygody, a może i sławy godnej samego Schliemanna” – zachęcał pomysłodawca w ostatnim zdaniu.

Koledzy wykładowcy, którym również marzyła się wyprawa, z bezsilności zgrzytali zębami, ale Grasser miał prywatnego sponsora i nie musiał się oglądać na uniwersyteckie granty. Od dwóch lat prowadził niezależne, zakrojone na ogromną skalę i nieco tajemnicze badania w terenie, z których relację zdawał jedynie dziekanowi Banasiowi i swojemu donatorowi.

Jeśli chciał zaciekawić kandydatów z uniwersyteckiego Wydziału Historii, to trzeba przyznać, że efekty tego apelu przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Zjawili się też liczący na dobrą zabawę zacy z innych warszawskich szkół wyższych. Ba,

stało się to nawet przedmiotem pewnej rywalizacji i licznych zakładów, w których skrzynka taniego studenckiego wina nie była najwyższą nagrodą.

W tej sytuacji – gdy nadszedł czas na ostatni wykład i ekstrawagancki profesor stanął przy dębowej katedrze – wbrew odwiecznym tradycjom tego typu spotkań na sali znajdowało się więcej gości niż na początku konferencji.

Grasser mówił swobodnie i ze swadą pasjonata. Nakreślił ramy wczesnego średniowiecza w Europie, w wielkim skrócie wspomniął o trzech złotych wiekach wikingów i ich wpływie na kulturę i sztukę wielu współczesnych państw, w tym Polski, by przejść do meritum. Przez audytorium przetoczyło się westchnienie ulgi.

– Macie dosyć? – Zaśmiał się, przekładając jakieś papiery.

W odpowiedzi na to retoryczne pytanie w sali zrobił się szum. Profesor spokojnie poczekał, aż umilkną śmiechy, żarty i oratorskie popisy tych, którzy lubią błyszczeć w tłumie.

– Wszyscy wiedzą, o co gramy?

– Nie do końca, panie profesorze. Czym jest Graal wikingów? I dlaczego przez setki lat pozostawał w ukryciu? No i czy uczestnicy ekspedycji dostaną na miejscu jakieś kieszonkowe?

– Ostatniego pytania nie było. – Naukowiec pogroził palcem uśmiechniętemu chłopakowi. – Co do reszty, to wiedza zarezerwowana dla tych z was, którzy zakwalifikują się do mojej ekipy, nazwijmy ją Drużyną Graala. – Błysnął zębami. – Przepadam za tolkienowską trylogią i za Harrisonem Fordem w roli archeologa – dorzucił jakby tytułem usprawiedliwienia. – Jednak winien jestem wyjaśnienie, dlaczego obrałem tak nietypową metodę selekcji. Już samo to wiele powie o czekających nas wyzwaniach. – Nieco teatralnym gestem rozłożył szeroko ręce. – Czy taka odpowiedź wystarczy?

Ten sam chłopak wzruszył ramionami.

– Jeszcze nic pan nie powiedział, psorze.

– Świetnie. Nie szukam wśród was potakiwaczy, ale ludzi myślących samodzielnie. Pierwsze wskazówki dotyczące ukrytego skarbu, które, muszę uczciwie przyznać, rozszyfrowałem dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, dają przedsmak tego, co nas czeka. Szukając punktu zaczepienia do dalszych badań, wgrałem te okruchy informacji do międzyuczelnianego systemu zawierającego kompendium dostępnej ludziom wiedzy historycznej. To potężna, międzynarodowa aktywna baza danych typu ECA. Doktoranci wiedzą, o czym mówię. I nic! Dacie wiarę?! Null! Cero! Sifr! Żadnych dostępnych analogii. Dopiero gdy w akcie desperacji wrzuciłem je do ogólnodostępnej sieci www, pojawił się tytuł: *Sześć myślowych kapeluszy* Edwarda de Bono.

– Bono, znamy! – rozległo się kilka głosów z sali.

– Nie wątpię, ale nie chodzi tu o wokalistę zespołu U2. Inna sprawa, że jego prawdziwe nazwisko to Hewson. Mam na myśli, rzecz jasna, rockmena. – Profesor położył palec na ustach, by uciszyć narastający szum komentarzy. – Okazało się, że do rozwiązania dylematów, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć, niezbędne jest to, o czym pisał ten lekarz, filozof i ekonomista w jednym, a co w wielkim uproszczeniu nazwiemy: myśleniem lateralnym. Tylko ktoś myślący nieszablonowo, ktoś, kto potrafi porzucić wertykalny sposób postrzegania przyczyny i skutku na rzecz *lateral thinking*, będzie w stanie właściwie zinterpretować dane. A ja nie zamierzam się spierać z komputerem, ani tym bardziej z internetem. Zagadki, które przygotowałem, wyłonią odpowiednich ludzi albo polecę na wyspę sam i sława wraz z bogactwem przypadną jednemu człowiekowi. Gotowi?

Chór nierównych głosów zlał się w niezrozumiałe buczenie.

– Pamiętajcie, dziesięć minut, w czasie których możecie zadawać pytania. Byle pojedynczo. Osoba, która chce coś powiedzieć, podnosi rękę i, wskazana przez moją asystentkę Anię,

wstaje. Jeśli ktoś zna odpowiedź, postępuje w analogiczny sposób.

Jak dało się zauważyć, niektórzy pracownicy naukowci uczelni – udając mało zainteresowanych – również sposobili się do rywalizacji.

– Na ekranie za mną wyświetlimy treść, a jej zniknięcie będzie oznaczać koniec czasu na udzielenie odpowiedzi. Aha – profesor zatoczył ręką szerokie półkole – przypominam, że moja oferta nie ogranicza się tylko do studentów Uniwersytetu Warszawskiego. W zasadzie każdy z was ma szansę i może wybrać się ze mną na tę pasjonującą wyprawę. *Let's get ready to rumble!*¹ – Przywołane słowa Buffera wywołały nieco niepewnych uśmiechów. – No to do dzieła.

Historyk wcisnął klawisz laptopa i niebieski ekran z symbolem systemu Windows zastąpiła treść pierwszego pytania. Salę wypełnił lekko nosowy głos Ani.

Mężczyzna był namiętym palaczem. Gdy zorientował się, że nie ma papierosów, wyjął z portfela jedną z dziesięciu stuzłotówek i zostawiwszy dla bezpieczeństwa resztę w kasie, wyszedł, by poszukać sklepu. Kiedy wrócił po piętnastu minutach, nie było śladu po pieniądzach i portfelu. Następnego dnia policjant z miasta oddalonego o trzysta kilometrów zadzwonił pod numer telefonu, który mężczyzna na wszelki wypadek nosił w portfelu, z informacją, że posiada jego własność. Poza częścią pieniędzy nic nie zginęło.

Pytanie: *Jakim sposobem portfel znalazł się trzysta kilometrów od swojego właściciela?*

1 *Let's...* (ang.) – Przygotujcie się na grzmoty! Legendarny zwrot wypowiedziany przez Michaela Buffera, amerykańskiego konferansjera bokserskiego.

Założenia:

Nikt go nie ukradł.

Właściciel nie miał nic wspólnego z jego zniknięciem.

Portfela nie zabrała też roztargniona żona właściciela ani nikt z jego rodziny lub przyjaciół.

Cisza, podczas której zebrani próbowali zrozumieć treść zagadki, przywodziła na myśl egzamin i Grasser uśmiechnął się mimowolnie. Gdy zobaczył dziekana Banasia skrobiącego coś zapamiętałe w swoim wysłużonym notatniku, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Miłośnicy papierosów mają klarowny dowód na to, że palenie szkodzi. – Organizator próbował nieco rozładować atmosferę, ale z mizernym skutkiem.

Jakiś chłopak podniósł rękę i gdy zobaczył, że asystentka skinęła głową, wstał.

– Panie profesorze, czy mężczyzna był sprzedawcą?

– To nie ma znaczenia – odpowiedział Grasser.

– No ale jest ważne, czy skradziono mu pieniądze z kasy w sklepie czy z kasy pancерnej...

– Nie skradziono mu pieniędzy – uciął te wywody mężczyzna.

– Panie profesorze... – Tym razem głos zabrała wysoka blondynka. – Może on zwyczajnie zgubił ten portfel i znalazł go ktoś jadący do innego miasta? A gdy dotarł do miejsca przeznaczenia, oddał policjantom i tyle?

– A jak pani wytłumaczy brak jedynie części gotówki w portfelu?

– No znalazca potrącił sobie jakieś koszty. Albo policjant...

Śmiech przetoczył się przez salę, ale Grasser pozostał poważny.

– Może to wzbudzać wesołość – powiedział, gdy zapadła cisza – ale wasza koleżanka idzie dobrym tempem, tylko w złą stronę. To i tak więcej niż niektórzy śmiejący się koledzy.

– No a może, jak mówiła Natalia, portfel wypadł, a pieniądze porwał wiatr, i... – Chłopak siedzący obok dziewczyny po drapał się po gęstej czuprynie.

– Dobrze, uproszczę zadanie. W trakcie pobytu w mieście, w którym mężczyzna szukał sklepu z papierosami, portfel cały czas pozostawał w kasie.

– Chyba utrudnię – odezwał się ponuro ktoś z tłumu.

Co rusz próbowano swoich sił, jednak Grasser wszystkie odpowiedzi kwitował przeczącym ruchem głowy. Gdy zdawało się, że w wyznaczonym czasie nikomu nie powiedzie się sztuka rozwiązania zagadki, rękę podniósł poważny, chyba młody mężczyzna, co jednak trudno było stwierdzić z całą pewnością. Gęsta, skołtuniona czarna broda i zmierzwione, opadające na czoło włosy zakrywały większość jego twarzy. Gdy zobaczył skinienie asystentki, wstał i dopiero teraz dało się zauważyć, jak jest wysoki.

– Samolot. To był samolot.

Na sali rozbrzmiały śmiechy z kolegi, który – jak widać – nie zdążył jeszcze wylądować po ostatniej imprezie. Szybko jednak umilkły, gdy profesor zaprosił chłopaka do siebie.

– Proszę państwa, nie rozumiem, skąd ta wesołość. Wasz kolega udzielił prawidłowej odpowiedzi.

– Co ma samolot z... Ej, bez jaj.

– Niech sam wytłumaczy. – Historyk odsunął się od mównicy, by zrobić nowo przybyłemu miejsce przy mikrofonie.

– Nooo... – Trochę speszony zwycięzca szybko doszedł do siebie. Próbował nawet przeczesać włosy, ale palce utknęły gdzieś w ich gęstwinie. – Pytanie naprowadziło nas na fałszywy trop. Ale może pan, panie profesorze...

– My się chyba skądś znamy. – Stojący obok Grasser z uwagą przyglądał się zwycięzcy.

– Byłem słuchaczem na pańskich wykładach.

– Aaa tak, teraz pamiętam, chociaż uciekło mi imię...

– Konrad, panie profesorze.

– Już pamiętam. Uśmiechnięty, ciągle głodny wiedzy... tylko ten – naukowiec wskazał na zarośniętą twarz i nieco niechlujny wygląd – kamuflaż mnie zmylił. No to, Konradzie, wyjaśnij swoim niecierpliwym koleżankom i kolegom, jak trafiłeś na właściwą odpowiedź.

– No bo „kasa” to nie musi być sejf czy kasa w sklepie, ale równie dobrze samolot o takiej właśnie nazwie. Wiecie, jak ten, który rozbił się w Mirosławcu z wojskowymi na pokładzie. Wprawdzie to się pisze inaczej, ale słyszymy „kasa” i...

– Ale na ekranie mamy polskie słowo kasa, a nie jakiś skrót od sam nie wiem czego! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Gdyby to miało być takie proste – odpowiedział profesor – musiałbym zadać to pytanie dzieciom w drugiej klasie szkoły podstawowej. Konradzie, dokończ swoją wypowiedź.

– To nas wszystkich wprowadziło w błąd. Gość z zagadki był pasażerem i gdy wyszedł, samolot odleciał razem z jego bagażem i portfelem. To nie są rejsowe maszyny, więc byłoby to możliwe.

– No ale co się stało z częścią pieniędzy? Gdy ps... policja dostała portfel, brakowało trochę hajsu – odezwał się chłopak wygolony niemal na zero. Był niższy od Konrada, ale umięśniony kark znamionował częstego gościa siłowni.

– Pieniądze przywłaszczył sobie ktoś z obsługi samolotu.

– Czyli ukradł! – Triumf w głosie tego samego gościa był niemal namacalny. – A sam pan mówił, psorze, i wszyscy to potwierdza... – patrzył na Grassera, szczerząc zęby – ...że hajsu nikt nie zwinął!

– Nie, jeśli brakowało dziesięciu procent kwoty, czyli znaczącego, które przezorny i niezbyt wierzący w ludzką wdzięczność znalazca potrafił z sumy w portfelu – wyjaśnił Konrad.

Szmer zrozumienia i śmiechów przetoczył się po sali. Wiele było też klepnięć w czoło.

– No to jeden stażysta, lub, jeśli wolicie, członek Drużyny Graala, już jest. – Historyk wyprostował splecione dłonie, aż cicho chrupnęły stawy. – Czekamy na pozostałą czwórkę. Mogę was zapewnić, że islandzka ekspedycja będzie przygodą życia. Kto wie, może też odmieni losy świata?





MAGNU

Rok 900

*Wilk z niedźwiedziem gnębią to obejście
Żuraw zbiera coraz większe żniwo
Krwawi ranne starych bogów serce
Nowe idzie, podstępne, kąśliwe.*

Mija właśnie dziewięćset lat od narodzin Chrystusa. Wśród moich braci inaczej znaczymy kolejne zimy, ale relacja jest w języku Paparów, który zwą łaciną, i to ludzie przez nich nauczeni przeczytają te słowa.

Wszystko, co poniżej skreśliłem, jest prawdą. Wiele z tych wydarzeń widziałem na własne oczy, a to, czego niedane mi było dotknąć i powąchać, zasłyszałem od godnych zaufania braci. Klnę się na bogów i jeśli łżę, niech spadnie na moją głowę ich gniew.

Niektórzy uznają, że losy mego pana i przyjaciela nie były godne sagi. Inni zaczną wątpić, czy wydarzyły się naprawdę. Taka jest ludzka natura i takimi zawistnymi i nieufnymi stworzyli nas bracia: Odyn, Wili i We. Osądźcie tę opowieść swoim rozumem. Proszę tylko, byście dotrwali do końca. To ważne. Tylko wtedy bowiem dane wam będzie pojąć niebezpieczeństwo grożące całej ludzkości. A wierzajcie mi, musicie stoczyć straszny bój o przyszłość tego świata, waszego świata! Czas nie ma tu znaczenia.

W każdym pokoleniu są mężowie o dzielnych sercach, dźwigający na barkach ciężary większe od innych. Są też ludzie jednego dnia, żyjący chwilą. Wielu z nas odbija się od tych dwóch murów i zajmuje miejsce odpowiednie dla talentów i zgodne z wolą bogów. Mój pan wychynął ponad przeciętność niby pływak nad taflę wody, wypełnił obowiązek, zatrzymał to, co mogło się rozlać na wszystkie światy Yggdrasila. Teraz wasza kolej.

Jeśli znaleźliście te zapiski, to taka była wola stwórców i nastał czas na działanie. Nadchodzi mrok, a wy, uzbrojeni w topór i tarczę, musicie stanąć mu na przeszkodzie. Choćbyście płakali ze strachu krwawymi łzami, zmoczyli uryną własne buty, nie odstępście nogi.

Nie wiem, ile dziesiątek, a może setek lat minęło od dnia, gdy skreśliłem te słowa, ale żywię nadzieję, iż mgła snuta przez wyznawców Jednoboga nie zniszczyła waszej prawdziwej wiary, wiary dziadów. Nie ufam mędrcom Jednej Księgi, nie ufam ludziom niosącym krzyż. Czyż to bowiem nie odwrócony miecz? Ich pragnienia zdają się nie znać granic, nigdy nie będą syci złota, pokłonów i władzy. Obserwowałem poczynania Paparów na wyspie lodu. Choć z początku zginali plecy i myli stopy biedakom, z czasem każdy z nich obrastał w pychę i twierdził, iż to sam bóg przemawia jego ustami. Może tak było w istocie, coraz mniej bowiem przypominali ludzi. Ale dość o tym, słuchajcie.

Brałem udział w wyprawie, z której nie powinienem wrócić żywy. To znaczy, wyruszyło na nią moje ciało i jedno oko, dlatego też przekażę słowa kogoś, kto był jedynie obserwatorem, a nie pełnoprawnym członkiem drużyny. Niczym sokół śledzący z góry krzątanicę w obejściu.

Wszyscy złożyli przysięgę w obliczu samego Odyna, że zachowają w sekrecie wydarzenia tamtych tygodni. Dla pewności władca bogów rzucił na nich klątwę i wspomnienia blakły, aż w końcu zniknęły, przywracając im spokój ducha. Ja, z po-

wodów znanych tylko Jemu, nie przyrzekałem i jako jedyny pamiętam. Wiele dumałem o tym dlaczego. Czar zapomnienia byłby przecież lekarstwem, a nie trucizną. Doszedłem do tego, że Syn Ziemi chciał, bym spisał historię minionych wydarzeń i przekazał ją potomnym. Jako świadectwo, że bogowie nie porzucili nas, a jedynie wycofali się do swoich światów i dali ludziom wolną rękę, ciekawi, gdzie nas to zaprowadzi. Pozostawili też oręż zdolny odwrócić bieg wydarzeń. Albo dopełnić dzieła zniszczenia.

Z biegiem lat żal zmienił się w odrętwienie, bo los każdego został utkany przez Norny już w dniu narodzin. Mój również. Cóż więc pomoże zamartwianie się i jałowe pytanie: „Dlaczego właśnie ja?”.

Biały Chrystus i chrześcijanie na całym świecie rosną w siłę, dotarli przecież nawet do nas, na wyspę wśród lodów. Nikt nie zdoła powstrzymać tego pochodu, a skoro nie można przeciwstawić się wielkiej fali, należy usunąć się w bok i poczekać, aż wody opadną. Zawsze w końcu opadają.

Więc ja, Magnu, ostatni strażnik zmiennokształtnego ulfhednara, powiernik świętego braektatu, zwanego przez bogów Naczyniem, ślę ci, mężu znający mowę Rzymian, wieści poprzez czas. Niech będą niczym płomień przyłożony do zgasłej dawno świecy lub blask dnia oglądany przez ślepcę po wielu latach błądzenia w ciemności. Czytając moje słowa, zastanów się, czy wszystko, co powiedziano ci o otaczającym świecie, jest kamieniem i żelazem, a nie jeno wonnym dymem otumaniającym umysł i zmysły. Jeśliś piśmienny, nie możesz być głupcem i fakty otworzą ci oczy.

Młody uczeń, ledwie jeszcze podrostek, przysiągł na pierścień, że wypełni mą wolę i schowa manuskrypt zgodnie z instrukcjami, tak aby przez wieki żaden wścibski Grek czy pluający na wiarę ojców Norman nie dostał go w swoje ręce. A nie myśl,

że nie spróbują. Sam byłem świadkiem, gdy przebywałem z kupiecką misją na wyspie Irów, jak z wielką zaciekłością słudzy Kościoła szukali włóczni Gae Bulg woja Cúchulainna. Łupieżczy napad moich ziomków wydał mi się przy tym jeno gospodarską wizytą. Nie cofali się przed niczym, by osiąść moc tego artefaktu. Jak twierdzili, miał zawierać w sobie fragment włóczni przeznaczenia, tej samej, którą przebito bok Białego Chrystusa. Ale kto zrozumie prawdziwe intencje złotoustych Paparów?

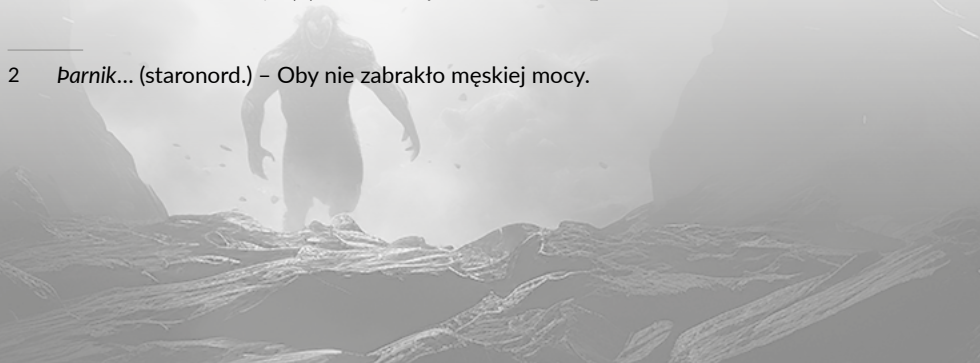
Rodziny tych wieśniaków, którzy mogli coś wiedzieć, rozrywano końmi, by wydobyć od nich informacje o miejscu ukrycia przedmiotu mocy. Pomimo rzeki krwi nie ustawano w poszukiwaniach, gdyż upór i konsekwencja kristmaðrów są ogromne. Za to należą im się wielki szacunek.

Tyle starczy, by cię ostrzec i uczynić twoje kroki cichymi.

Nic nie jest wieczne. Kiedyś fala znużona własnym ciężarem opadnie. Wtedy świat na nowo odkryje starych skandynawskich bogów. Oby dla nas, ludzi, nie było już za późno, a Biały Chrystus nie zabił w człowieku prostej radości życia, zapełniając pustkę nieskończonym poczuciem winy.

I jeszcze jedna przestroga: mądrze użyj Naczynia. Tylko wtedy bogowie zwani Asami, a nie Hel z jej sługami, powrócą na Ziemię. *Darnik þéreiðúrr*², nieznany przyjacielu. Bądź rozważny, bo dostajesz do ręki władzę nad światami. Jeśli, jak ja, uznasz się niegodnym tej potęgi, poszukaj męża o niezłomnym charakterze, którego słuchają drudzy, a on nie czerpie z tego uciechy. Męża dbającego o swoje obejście, co nie zna strachu ni pychy. Daj mu to, coś znalazł. Pamiętaj jednak: wybierz roztropnie!

2 *Darnik...* (staronord.) – Oby nie zabrakło męskiej mocy.





KRWAWY PORANEK W MOSFELLSDALUR

Rok 875

*Trzy olbrzymki przędą ludzkie losy
Zgarbione i ciche niczym stare dęby
Ty nie zdołasz rozpleść nigdy tego splotu
Jak nie znajdziesz czaru, by być naraz wszędzie.*

Zima przyszła tego roku nagle, wgryzając się lodowym oddechem w nasączony jesiennymi deszczami krajobraz Islandii. Solidne, ocieplane darnią drewniane hovy³ przykryła jednej nocy gruba warstwa śniegu. Dolina Mosfellsdalur skryła się pod nim niczym pod stertą owczej przędzy. Jeśli nie liczyć kilku strażników opatulonych w niedźwiedzie futra, między domami było pusto. Jeszcze miesiąc wcześniej ci zbrojni grzaliby tyłki przy ogniskach, tęgo popijając mocne piwo. Ale to było, zanim...

Ujadanie marznących psów i dochodzące niekiedy z wnętrza domostw stłumione pijackie śpiewy i kłótnie zagłuszał ryk wiatru zagarnianego potężnymi skrzydłami Hräsvelga⁴. Kto nie musiał, nie wyściubiał dzisiaj nosa z chaty. Nadchodził czas pijatyk, chędożenia żon i niewolnic – tych ostatnich po

3 Höv/hov – dom.

4 Hräsvelg (Trupożerca) – olbrzymi orzeł, który siedzi na skraju niebios i machając skrzydłami, wywołuje wiatr.

wielokroć, o ile właściciel nie miał nic przeciwko albo był zbyt pijany, by go pytać o zgodę. No i czas planowania przyszłych wypraw. Młodzi, którzy nie chcieli lub nie wiedzieli, jak w pełni korzystać z życia, siadali w chłodne wieczory przy ogniu, zasłuchani w barwne sagi o bogach i bohaterach. Opowieści snute przez wiekowych już mężów opisujące czyny tych druhów, którzy zasłużyli na to, by o nich pamiętać. Barwne opisy walk z czarnymi elfami ze Svartalrheimu, olbrzymami z Muspelheimu i Hrimthursheimu, morskimi potworami czy wreszcie atakującymi wielką kupą zbrojnymi wywoływały rumieńce na chłopięcych i dziewczęcych buziach. Nie zawsze wikingowie wychodzili z tego cało, ale wykazywali się siłą, męstwem, sprytem i odwagą, dzięki którym trafiali po dobrej walce do Walhalli i właśnie do sag. Czegóż chcieć więcej?



W największej hali – tej, w której zimował miejscowy jarl⁵ Grimisdal ze swoją drużyną – opracowywano taktykę wystąpienia na wiosennym Althingu. Zbierali się tam wszyscy wolni mieszkańcy wyspy, by sądzić, rozsądzać i ustanawiać prawa. Wojowie Grimisdala i on sam zadanie mieli niełatwe, za swój postępek – wielokrotne mężobójstwo – zasłużyli bowiem na dożywotnie wyjęcie spod prawa. Z trzydziestu dziewięciu sędziów zdołali jak dotąd – złotem i groźbą – przeciągnąć na swoją stronę ledwie dziesięciu. Reszta niechybnie zażąda zapłaty krwią za krew, śmiercią za śmierć. Ale czy zdołają wykląć całą osadę? Może wystarczy rekompensata w srebrze i złocie, którego mieli teraz pod dostatkiem?

5 Jarl, haulder, landmand, thegen – określenia odpowiadające polskim tytułom szlacheckim.

A wszystko zaczęło się jak zwykle niewinnie, od pogaduszek przy piwie. Ha, bez tego napitku lub zamorskiego wina świat – choć ponury – byłby spokojniejszym miejscem.

Ostatnie lata były chude, a wyprawy na wiking przynosiły więcej płaczu wdów niż kruszcu. Dwukrotnie trafili na świeżo splądrowane klasztory i w drodze na okręty musieli się zadowolić chłopskimi chatami. Jedynym wartościowym towarem byli tam ludzie, ale ci na wieść o rajdzie rozpraszali się po okolicznych lasach i szukaj wiatru. Chwymano niektórych, a jakże, jednak raczej chore i młode sztuki i pewne było, że część zemrze w drodze powrotnej do domu. W odwecie, by pofolgować pustej złości, wyrzynano niewielkie stada chudych owiec i palono liche domostwa, a do jarla Grimisdala przyłgnęło niesławne przezwisko: Owczy Konung.

Raz starli się z silnym oddziałem miejscowego władcy, rozsierzonego rajdem innych wikingów, którzy dawno już zdążyli zniknąć z łupem. Bogowie i tym razem nie sprzyjali Grimisdalowi. Coraz częściej i głośniejsze przebąkiwano o zmianie dowódcy. Po co iść za takim, któremu nie są przychylni bogowie? Przecież jego pech oblepia członków drużyny niczym miód zanurzony w nim męski flet. Tylko fakt, że Owczy Konung nie miał sobie równych w boju, powstrzymywał co bardziej krewkich od rzućenia wyzwania.

Jesienią jego łodzie znowu wróciły do domu puste. Śmiechu było tak wiele, że jarl musiał ubić kilku co bardziej bezczelnych wesółków. Nie dziwota więc, że przy piwie szukał sposobu na powetowanie braku szczęścia. I znalazł. Wpadł na pomysł, by pod nieobecność sąsiada Sigmunda Olafssona złupić jego rodowy gród, leżącą nad zatoką Reykjavík osadę Ýdalir⁶.

Nie wzbudził tym konceptem zbyt wielkiego entuzjazmu u okolicznych bondów. Wszyscy wiedzieli, że Sigmundowi Olafssonowi

6 Ýdalir (staronord.) – Dolina Cisów.

na odwyrtkę sprzyja wojenne szczęście i nawet niewolnicy w jego obejściach srają srebrem. On sam akurat wraz z kilkoma setkami zbrojnych pustoszył kraj Bretlandczyków, ale przecież przyjdzie czas, że wróci z wikingu! A wtedy...

– Pijmy, a potem o tym porozmawiamy. – Grimisdalowi nie można było odmówić sprytu.

Więc łąły się piwo i miód całą jesienną noc, a Owczy Konung co jakiś czas roztaczał przed oczami towarzyszy wizje wielkich bogactw, które zakopał pod swoim domostwem Olafsson. Niby mimochodem napomykał, że wcale nie wiadomo, czy jego skipy przybiją jeszcze do rodzinnego portu, a jeśli nawet, to zapewne mocno poharatane i będzie to niczym dar od bogów. Nic tylko brać.

– Spalimy mu domy, wyrzniemy zbrojnych, a kobiety i niewolnicy staną się naszą własnością! – grzmiał, wznosząc w górę róg. – To nie wszystko! Gdy przyplyną jego langskipy, spadniemy na nich niczym wilk na rannego psa i zagarniemy okręty pełne skarbów. A wiecie, że Englismadowie płacą duży okup w złocie za odstąpienie od plądrowania kraju. Część z tego przypadnie Sigmundowi, a właściwie nam, wystarczy tylko sięgnąć!

Na słowo „złoto” słuchającym żywiej zabiły serca.

– No ale to sam Sigmund Olafsson – mruknął nieco przytomniej Tjordek Ospowaty. – Nie jakiś tam jarl, ale TEN jarl! Bywały lata, gdy to on przewodził Althingowi. Słyszałem o nim...

– Gównu tam słyszałeś! – wrzasnął wódz. – Za broń, a staniecie się najzamożniejszymi ludźmi na Islandii! Tchórze niech siedzą po domach pod fartuchami swoich kobiet i ssą ich coraz chudsze cycki!

– Nie miałbym nic przeciw, żeby teraz zwiedzić mech twojej żony – mruknął jakiś młody chwata, ale tak, by gospodarz

nie słyszała. Aldis uchodziła za jedną z najbardziej urodziwych w osadzie. I nie szczydziła miodu co gładszym młodzieńcom, gdy mąż wy pływał na wiking.

Alkohol, żywiąc się rozsądkiem, dodaje znudzonym mężom odwagi, a tchórzom po cztery ręce do walki. Namowy jarla zrobiły swoje. Jeszcze tego dnia zorganizowano rajd i biesiadnicy dotarli zbrojnie pod niezbyt wysoki kamiennie-ziemny wał otaczający osadę nad zatoką Reykjavík. Z występujących tu licznie gorących źródeł wydobywała się para, czyniąc krótkie dni mglistymi. Dzięki temu zimą było cieplej niż w innych rejonach wyspy.

Ktoś musiał ostrzec mieszkańców, bramy bowiem zastały zamknięte, a drewniana galeria biegnąca równolegle z obwałowaniem mieniła się blaskiem pochodni.

Jarl Grimisdal przyprowadził setkę mężów w sile wieku. Niektórzy mieli ze sobą solidne drabiny, więc los obrońców był przesądzony. Tym bardziej że naprzeciw stanęli starcy, kobiety i podrostki wspomagani przez domowych niewolników.

– Czekać, chłopcy, pomówię z nimi i może po dobroci otworzą bramę. Szkoda krwi na tych pastuchów. – Owczy Konung wstrzymał swoich co bardziej krewkich kamratów. – Kto dowodzi załogą?! – wrzasnął i ruszył z tarczą nad głową w stronę wału.

Kilka chwil na górze trwało zamieszanie, aż w końcu odezwał się głos, który raz był męski, a raz dziecięcy jeszcze:

– Ja, Vetrilði, syn Sigmunda Olafssona, jarla tej osady! Czego szukacie po nocy nad zatoką Reykjavík taką kupą?! Idźcie precz! Nie stanie się nikomu krzywda, jeśli nas poniechacie.

– A może na odwyrtkę otworzysz nam bramę, szczeniaku, i umrzesz szybko i z honorem, zamiast zdychać godzinami z rozprutym bebechem?! – Grimisdal zaśmiał się głosem olbrzymów. W ślady wodza poszła cała drużyna. – No? Nie mam całej nocy!

– Ojciec się zemści! – Głos podrostka się załamał i chłopak zapiszczał teraz niczym dziewczę.

– Gównu mnie obchodzą pogrozki takiej nieledwie białołowy, a Wilczy Konung gryzie pewnikiem zamorską ziemię. Otwieraj, gównojadzie, albo pójdę po ciebie i przekonamy się, co z jarlowego wyskrobka za wojownik! – We władcy osady Mosfellsdalur zaczęła kipieć wściekłość.

Na górze dało się słyszeć przyciszone rozmowy, ktoś krzyknął, inny zabulgotał, gdy nóż przeciął mu gardło, i zapadła cisza.

– Idźcie precz! – usłyszeli w końcu głos młodego Vetrilðiego Sigmundssona. – Idźcie precz, a może ujdziecie z życiem!

Na ryk swego wodza napastnicy rzucili się do szturm. Niesione w silnych rękach drabiny wczepiły się w wał, a zbrojni z toporami w dłoniach lub nożami w zębach rozpoczęli błyskawiczną wspinaczkę. Na spotkanie poleciały strzały i oszczepy, które poszczerbiły nieco napastników, ale to dodało tylko tym ostatnim zaciętości.

Pierwszy na górze znalazł się niewysoki i szybki Kraki Sibbisson, który rozłupał czaszkę starego woja próbującego mu stanąć na drodze. Zaraz jednak jęknął głośno, gdy jakiś miecz utkwiał mu w boku przy sprzączce troków skórzanego napierśnika nabijanego metalowymi płytkami. Spadał już, gdy w migotliwym świetle pochodni zobaczył młodego zabójcę w zbyt dużej kolczej koszuli.

Zaraz za nim wepchnął się jednak potężny Guffi, syn Abiego. Zamachnął się toporem na chłopca i byłby go przeciął na pół, gdyby z ciemności nie wypadła kobieta z oszczepem w ręku. Rzuciła się z rozpędu na zbrojnego i wbiła mu ostrze w brzuch. Ten zdążył jeszcze rozorać niewieści bark i niemal odciąć kobiecie głowę, a potem razem spleceni, niby para kochanków, spadli z drabiny. Vetrilði zmarł przerażony. Chciał być dzielny, ale...

– Uciekaj, chłopcze! – Stary woj, który w podzięce za dobrą służbę otrzymał dożywocie w domostwie jarla Olafssona, wskazał głową leżące w dole domostwa. – Schowaj się gdzieś, a potem uciekaj do lasu. My tu będziemy... – Więcej nie rzekł nic, z drabiny bowiem zeskoczył Banki Kowal, chłop o posturze młodego niedźwiedzia, i starzec, choć na krótko, miał inne zajęcie.

Vetрилði zsunął się po grubym balu podtrzymującym galerijkę i stanął na wprost gromady przerażonych mieszkańców osady, którzy w dłoniach dzierżyli broń bardziej pasującą do kuchni niż na pole bitwy.

– Kobiety... – głos na chwilę odmówił mu posłuszeństwa – ...kobiety do chałup, a ze mną tylko ci, którym nie będzie strach umrzeć! – krzyknął w końcu, tym razem zadziwiająco grubym głosem.

Po chwilowym zamieszaniu został w otoczeniu kilkunastu starych, w większości schorowanych mężczyzn. Każdy z nich, zamiast męczyć się w czas zimy życia, chciał trafić po śmierci w boju do Walhalli.

To była najwyższa pora. Napastnicy bowiem wycięli niemal w pień obrońców na galerii i teraz dwóch z nich zeskoczywszy na klepisko, zdejmowało rygle z bramy.

Potężny ryk z dziesiątek gardeł przebił się przez zgiełk bitwy i do środka wdarł się żądny krwi i łupów tłum zbrojnych jarla Grimisdala. Nieliczni żywi jeszcze obrońcy walczyli dzielnie, ale nie mieli szans i szybko wyrżnięto ich do nogi. Najdłużej opór stawiał oddział zgromadzony wokół syna jarla Sigmunda. Chłopak, choć ledwie podrostek, zagrzewał swoich do walki, a i sam poharatał kilku napastników zaskoczonych taką zaciętością. Wypatroszyli go za to niczym prosiaka i nabili na pal nad bramą w miejscu, w którym wcześniej wisiała olbrzymia wilcza czaszka – rodowy znak pana tego grodu.



Co gładsze kobiety pohańbiono, napełniając ich brzuchy nasieniem wielu pijanych mężów, i wespół z dziećmi powiedziano w niewolę. Wiosną, gdy stopnieją śniegi i lody, a żagle statków wypełni wiatr, trafią na targi w Birce, Hedebie czy Truso.

Cztery dni ciągnęła się pijatyka, a między osadą Ýdalir a doliną Mosfellsdalur kursowały wozy wypełnione wszelkimi dobrami. Ostatniej grupie towarzyszyła ponad setka niewolników i uradowani łatwym zwycięstwem zbrojni jarla Grimisdala. By zatrzeć ślady plądrowania, pod hovy podłożono ogień.

Po wszystkim z polecenia Owczego Konunga w pobliskim rachitycznym lesie ustanowiono posterunek, który miał ostrzec zdobywców o powrocie drużyny pogorzelca Sigmunda Olafssona. Zdążą się przygotować, ruszyć naprzeciw i odebrać resztę należnego łupu. Do tego czasu muszą znaleźć sposób, by na wiosennym Althingu zyskać jak największą liczbę stronników. Jeśli nie, wywalczą sobie wolność żelazem i wyspa lodu spłynie krwią. Bogowie kochają zwycięzców.

Im głośniej krzyczano, tym bardziej starano się zagłuszyć myśli o Wilczym Konungu, jarlu, o którym krążyły mroźące kości legendy.



Dni były coraz krótsze. Te kilka godzin światła ledwie wystarczało, by oporządzić bydłeta i gospodarkę. Trwający dłużej mrok wlewał w serca ludzi ponure myśli, które należało odpędzić dużą ilością piwa. Czasami nadchodzi jednak taka ciemność, której żaden napitek nie zmoże.

Dlatego pomimo pory roku, podczas której wstrzymywane są rajdy, a ludzie siedzą po chałupach, kilku zmarzniętych i psioczących zbrojnych strażowało w pobliżu osady Ýdalir.

Porywisty wiatr gwałtownie ciął ku ziemi cienkie pnie drzew i jedyną osłonę dawało zagłębienie terenu, w którym zbudowali lichą lepiankę. Do pociechy i dla rozgrzewki dostali kilka garnców z piwem, które z nietęgimi minami podgrzewali teraz przy ogniu.

– Wgapiamy się w wodę dniem i nocą i powiem wam, kamraci, że Wilczy Kon... tfu, no, sami wiecie kto, pewnikiem chędoży już Ran razem ze swoim lidem, a jego łódź śpi na dnie wielkiego morza. Jakby miał wrócić, to już by tu był. Tak czy nie? – Harek, syn Hunbogiego, splunął w ognisko, a ogień odpowiedział cichym, ostrzegawczym sykiem.

– Ugryź się w ozór, trupożerco, żeby w taką ciemnicę przyzywać nieszczęście. Im ciszej o nim, tym dłużej pożyjem, ot co. – Wielki, zakutany w niedźwiedzią skórę mąż dorzucił kilka nierównych szczap do ognia. – A jakby takie pewne było, że ten wódz poniechał ojcowizny, toby nasz jarl nie trzymał nas tu trzeci tydzień na mrozie.

– Ale mam rację, Swen, że o tej porze nikt roztropny nie rusza na morze, zgadza się?

– Chyba... – mruknął trzeci kompan, przetykając głośno łyk cienkiego piwa – ...że mu kto wieści z domu przyniósł.

– Bodajby cię wilcy, cóżeś taki strachliwy się zrobił? Jak w Ýdalir różnieliśmy miejscowych, toś pierwszy był do bitki. Jak nadszedł czas, by poużywać z białogłowami, i tuś się nieźle sprawiał. Pamiętasz tę z głową wygoloną w pół? Krzepka była i jak ci przyłożyła bierwionem, to żeś się kopytami nakrył. – Zarechotali, ale w ich głosach echa wesołości współzawodniczyły z obawą.

– Możem się i nakrył, ale wychędożyłem jej córkę, a stara jeno patrzyła i pluła ze zgryzoty krwią i zębami. Gdy młoda w końcu dała gardło, matka wyła niby opętana. Żeś ją we trzech trzymali, gdym i jej dogodził. Po wszystkim trza było i tę ukatrupić, boby spokoju nie było. Uszy bolały od tego wycia

i złorzeczenia. Po prawdzie piłem wtedy dużo, bo na trzeźwo... – Zamilkł.

– Jak każdy. – Harek chleptał z dzbana, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie. – U jarła Olafs..., tfu, w piwnicach trunki były przednie, a nie jak te świńskie szczyzny. – Oddał dzban kompanowi.

– Tylko my tam byli w wielkiej kupie i sile, a tu sterczym sami niby zadry we włochatej dupie. Jakby co, znikąd pomocy. – Swen westchnął ciężko.

– Bo nie naszą rolą potykać się ze zbrojnymi. Ty lepiej przepatruj wodę, a jak zoczysz jaki skip, weźmiem nogi za pas i lecim do doliny. Pogorzelec przecie latać jeszcze nie umie.

– Takiś pewny?

– Bodajby cię... Ten znowu swoje. Zawrzyj gębę, bo i bez twoich strachów ciężko nam tu usiedzieć, a Owczy Konung polamię gnaty, gdy wrócim przed czasem.

W ciągu kolejnych godzin milczeli, naprzemiennie przysypiając i zrywając się na równe nogi przy gwałtowniejszych podmuchach wiatru. Tylko piwo dawało nieco ukojenia skołatany nerwom.

Nim pojawił się nad nimi cień czarniejszy od czeluści Niflheimu i poczuli smrodliwy oddech drapieznika, mieli już nieźle w czubie.

Pierwszy zobaczył go Harek, syn Hunbogiego. Rozwarte do krzyku usta wraz z głową poleciały w mrok. Krew, która trysnęła z jego karku, niemal ugasiła niewielkie ognisko. W zielonych, jarzających się nieziemskim blaskiem ślepiach płonęła żądza mordy.

Swen, co trzeba mu przyznać, błyskawicznie zerwał się z toporem w dłoni. Zamachnął się na rozmazaną plamę czerni, jakby pragnął jednym ciosem powalić solidną brzozę. Zahaczył wprawdzie napastnika, ale zaraz poczuł potworne szarpnięcie

i, nim upadł na trawę, ręka oderwana od barku – ciągnąc za sobą poszarpane pasma mięśni i ścięgien – poszybowała w stronę morza. Nie podniósł się już, a bestia potężnym ciosem pięści zmiotła mu czaszkę.

Trzeci, zdało się najbardziej krzepki ze strażników, gdy zobaczył, co spotkało jego kompanów, wpadł w berserk. Odrzucił broń, krzyknął i skoczył, chcąc gołymi rękami zadusić potwora. Napastnik przyjął wyzwanie i przygarnął wikinga do szerokiej, włochatej piersi. Kości mężczyzny pękały z cichym trzaskiem, krew poszła wszystkimi otworami w ciele, ale to było mało. Gdy martwy strażnik dotknął ziemi, przypominał człowieka z drugą talią. Wtedy bestia pożywiła się nim, a szelesty nocy rozdarło zwycięskie, jęklive wilcze wycie.

Po kilku chwilach nad zatoką Reykjavík zapanowała cisza, o ile nie liczyć wiatru grającego swoje pieśni.

Tej nocy niewolnicy porwani z osady Ýdalir słyszeli odgłosy bitwy, jednak odrzwia szop na łodzie, w których ich stłoczono, pozostały zamknięte. Szczęk broni i chrapliwe okrzyki rozkazów mieszały się z odgłosami przerażonych i mordowanych ludzi. Niekiedy dał się też słyszeć ryk, który z pewnością nie wydobyl się z gardła człowieka.

Nagle coś łupnęło o jedną ze ścian, a brzemienna Hilde bezwiednie osłoniła rękami łono, jakby to mogło pomóc. Chwilę trwała cisza, rozdarła nagle zdławionym w połowie krzykiem bezbrzeżnego przerażenia. Potem dał się słyszeć typowy odgłos towarzyszący każdej jatce: rozrywanego mięsa, łamanych kości i... chłęptania gorącej juchy. Coś, ktoś zazgrzytał jeszcze ostrzami noży lub pazurami po deskach, usłyszeli ciche węszenie, a potem zapadła cisza.



Długi dom jarla Grimisdala był największy w osadzie. Ci zbrojni, którzy ruszyli w noc ściągnięci hałasami i okrzykami, nie wrócili już, by zdać relację, więc Owczy Konung nakazał pozostałym bronić obejścia. Zawarli solidną belką grube odrzwia. Pod ściany poszły stoły i ławy. Dorzucono drewna do płonącego na środku ogniska.

– To Wilczy Konung! – Albi, syn Akiego, obracał się, kreśląc mieczem półkola. – Mówiłem, że za podszeptem Lokiego zaatakowaliśmy jego dom!

– Zawrzyj gębę, szczopiju, albo wyrwę ci z niej parchaty jęzozor! – Rozsierdzony pan domostwa otrząsnął się już z zaskoczenia. – Kto by nie był, jest nas tu dziesięciu i posiekamy każdą bestię z Helheimu!

Gromada kobiet pod wodzą Aldis również szykowała się do walki. Solidne saksy w dłoniach i wyraz determinacji na twarzach czyniły z nich nie lada przeciwników. Tym bardziej że po kątach i w spiżarni chowały się wystraszone dzieciaki. Nie tak wyobrażały sobie bitwy, o których słyszały sagi, siedząc przy zimowych ogniskach. Wielu marzących o wojennej sławie i czynach godnych bohaterów posikało teraz wdziewane do spania ciepłe koszule.

Nagle coś napało na wrota, a belka zatrzęszczała złowieszczo. Potworny ryk przeszył powietrze i nawet tęgim wojom ścierpła skóra. Uderzenia rozlegały się raz za razem, jednak – dzięki niech będą bogom – solidna dębina wytrzymała te ciosy. Hałasy ucichły i jeden z drugim wypuszczali teraz długo trzymane w płucach powietrze.

– Poszedł precz? – Kowal Banki, zwany Krzepkim Młotem, ruszył w stronę wejścia.

– Ani się waż wychodzić! – Głos jarla Grimisdala osadził go w miejscu. – To podstęp! Czai się i czeka na nasz błąd, a że

w ciemności widzi lepiej od synów Aska i Emblí⁷, to w hovie przy ogniu nasze szanse wzrosną.

– Ale tam nasi, jarlu. – Banki nie dawał za wygraną. – W obejściu zostali moja kobieta z synem i stary ociec.

– Wyroki bogów, tu jesteśmy bezpieczni. W słońcu jego czarne moce słabną, wtedy...

Słowa te zostały przerwane przez hałasy dochodzące z góry. Nagle przez dymny otwór przecisnęła się jakaś postać. Wisiała chwilę na łapach, by zeskoczyć, unikając żywo płonącego ognia. Niemal w tej samej chwili dwóch stojących najbliżej zbrojnych padło na kolana, chwytając się za rozszarpane gardła. Skołtuniona ruda bestia stanęła między obrońcami a drzwiami domostwa i zaryczała wyzywająco.

Rzucili się na stwora z żelazem w dłoniach. Niepodobna jednak, by żywa istota była zdolna do tak szybkich ruchów. Topory i miecze cięły z jękiem powietrze, stwór zaś – po błyskawicznym uniku – z łatwością gromił obrońców. W kilka chwil klepisko zaścięłały ludzkie szczątki, a umierający rzezili, wydając ostatnie tchnienia. W tym i kobiety, które w desperackim ataku próbowały przechylić szalę zwycięstwa. Żywi pozostali tylko jarl Grimisdal i Aldis stojąca obok z saksem w dłoni. Przybysz zdawał się celowo oszczędzić tę dwójkę.

Owczy Konung, widząc los swoich najlepszych ludzi, wpadł w berserkerski szał i za nic mając sobie własne życie, ruszył na spotkanie potwora. Był wielkim, silnym mężem, budzącym postrach wśród zbrojnych na całej wyspie lodu, ale tylko człowiekiem. Nie zauważył rozmazanego od szybkości ciosu pazurzystą łapą. Hełm osłabił uderzenie i uratował mu życie, ale świat skryły ciemności.

7 Ask – pierwszy mężczyzna, Embla – pierwsza kobieta.



Gdy odzyskał przytomność, siedział na własnym, zdobnym krześle. Solidny drewniany mebel wyciosano z jednego kawałka dębiny, która wiele zim przeleżała w morzu i teraz była twarda niczym kamień. Ręce Grimisdala ktoś przymocował sznurem do podłokietników, na jego szyi zaś ciasno zaciskała się gruba pętla.

Pierwsze, co zobaczył, to siedzącą na wprost Aldis. Spętana podobnie jak mąż patrzyła spuchniętymi od płaczu i na wpół pustymi oczami kogoś, kto pogodził się już z najgorszym.

– Aldis – wychrypiał – nasze dzieci...?

Kobieta zdołała pokręcić głową, a ból wspomnień był tak wielki, że zaciskane teraz zęby ukruszyły się na wspomnienie okropieństw, których była świadkiem. Jęknęła cicho.

– Jest tu?

Zdawała się nie rozumieć pytania.

– Czy bestia ciągle jest w dolinie? – Ponowił próbę uwolnienia, ale to sprawiło tylko, że pętla ciaśniej zacisnęła się na jego szyi.

– Wszyscy zabici, Grim, wszyscy... – szepnęła i zamknęła zbolane oczy, jakby próbując ukryć się przed światem za zasłoną powiek. – Widziałam – mówiła jakby do siebie – jak rozerwał na pół małego Diarfa i pożarł go niby kurczaka... Jeszcze słyszę chrzęst kostek... Chciał, żebym to widziała... Bogowie, zabierzcie mnie już, proszę... – Głowa Aldis opadła na piersi. Przepętniona bólem kobieta zemdląca.

Potwór jakby na to czekał. Bezszelestnie wyszedł z cienia i na oczach właściciela długiego domu rozpoczął przemianę. W asyście sapania, ryków bólu i odgłosu pękającej skóry bestia opadła na kolana, by po kilku chwilach, drżąc z wysiłku, pod-

nieść się w ludzkim kształcie. Przed Owczym Konungiem stał teraz nagi Sigmund Olafsson.

– Obudziłeś się, trupie?! – Władca spalonej osady splunął krwawą plwociną pod stopy wroga. – Poczekałbym ze szczeniakami na ciebie, ale głód był silniejszy. Dobrze chociaż, że twoja Aldis patrzyła.

Jarl Grimisdal rzucił się do przodu, ale sznury były mocne.

– Mam też coś specjalnie dla ciebie, morderco mego syna. Kochasz tę kobietę?

Pytanie było tak nagłe, że szykujący się do obelg Owczy Konung milczał chwilę, zbierając myśli.

– Weź mnie, bestio, a jeśli jest w tobie okruczeństwa, puść Aldis wolno – wychrypiął w końcu.

– Czyli tak. Ja kochałem Vetrilðiego nad życie. Nawet nie wiesz, ile musiałem znieść, by mógł przyjść na świat zdrowy i... normalny. A ty, psie, w jednej chwili mi to odebrałeś.

– Życie za życie, Sigmundzie. Weź mnie.

– Tak zrobię, ale nim to się stanie, chciałbym dać ci odczuć ból straty po kimś, kogo śmierć wyrwie ci serce.

– Zabrałeś moje dzieci. – Z ust więźnia wyszedł bardziej szept niżli okrzyk. – Czego jeszcze chcesz? Weź mnie jako nawiązkę i idź precz, potworze.

Ciągle nagi Olafsson podszedł do odzyskującej przytomność kobiety. W blasku dogasającego ogniska prezentował się okazale. Węzły grubych mięśni na torsie były pokryte rudymi kędziorami. Mimo wieku ciało miał wciąż smukłe, młodzieńcze.

– Aldis, piękna Aldis, jak bardzo pragniesz żyć? – Przeciął saksem krępujące ją więzy.

Kobieta padła na kolana, gdy tylko puściły sznury, ale zebrała się w sobie. Z trudem wstała i zdało się bez strachu spojrzała w oczy mordercy swoich dzieci. Potem... splunęła mu w twarz zabarwioną krwią śliną. Milczała.

– Widzisz, Grimisdal – Wilczy Konung bez gniewu otarł twarz – twoja kobieta ma więcej honoru niż ty i twój lid razem wzięci. Stoi przed wrogiem, gdy wy wykorzystaliście moją nieobecność, by wyróżnić bliskich mi ludzi. I może nawet pozwoliłbym jej oddychać. Ale... ona chce do Asgardu. – Mówiąc to, wcisnął niewieście saks w dłoń i stanął, szeroko rozkładając ręce. – Zabij mnie, Aldis, pomścij rodzinę.

Aldis Jorungdottir brała za młodu udział w rajdach i nieobcy był jej mord. Teraz w jednej chwili rzuciła się na oprawcę, godząc ostrzem w jego serce. Włożyła w ten ruch całą siłę, całą nienawiść i matczyzny ból. Ale Wilczy Konung czekał na nią. Błyskawicznie zszedł z linii ciosu i jednym ruchem potężnych ramion skręcił kobiecie kark. Trzymał ją jeszcze kilka chwil w objęciach, po czym delikatnie ułożył jej ciało na deskach podłogi.

– Wiedz, wieprzu, że okazałem łaskę dzielnej wojownicy w uznaniu jej męznego serca, a nie skomlenia tchórzliwego męża. Zginęła w walce, więc pójdzie do Walhalli. Ty jednak, wiarołomny sąsiedzie, nie dostąpisz tej łaski. Poranię cię tak, byś nim skonasz, miał czas przemyśleć swoje postęпки. Po śmierci pójdiesz do królestwa Hel, bo tam jest miejsce każdego zdrajcy i krzywoprzysięcy.

Jarl Grimisdal nie wydał z siebie krzyku, gdy Wilczy Konung odrąbał mu dłonie i stopy, a potem pieczętował rany żywym ogniem, by ten nie zmarł zbyt szybko z upływu krwi. Bezwiedne jęki, które wydobywały się z jego ust, tłamsił gniewnie, zawierając mocniej usta. Mdał co pewien czas, ale zimna woda wyrwała męczyznę z nieświadomości. Gdy było po wszystkim, Sigmund Olafsson zniknął, pozostawiając kalekę sam na sam z myślami, potwornym bólem i truchłem ukochanej kobiety.

Około południa, gdy strażnicy nie zjawili się z rybą breją, którą karmiono jeńców z Ýdalir, myszowłosej Steinvör udało się wyzwolić z więzów. Gdy zalękniona wyszła na zewnątrz, przywitała ją niepokojąca cisza. Żadnego tumultu, odgłosów pracy w kuźni, jęków rannych czy nawet płaczu. Nic.

Pobladła ze strachu, gdy zajrzała do pierwszego z brzegu hovu. Porozrywane ciała ludzi i zwierząt – i to bez wyjątku, czy to byli mężczyźni, kobiety czy dzieci – tworzyły na klepisku miękką, krwawą ściółkę. Wszędzie było tak samo.

Jeńcy uciekli, zwiertżywszy w tym działanie czarnej magii. Wrócili do spalonych domostw, by odbudować osadę nad brzegiem zatoki Reykjavík. Póki życia, póty nadziei.

Tak dopełniła się zemsta jarla Sigmunda Olafssona, lecz to był ledwie przedsmak przyszłych wydarzeń. Norny spłotły los tego zmiennokształtnego w sposób wyjątkowo kunsztowny i miły bogom. To z kolei oznacza dla człowieka cierpienie i łzy, którymi żywią się serca długowiecznych Asów i Wanów.

